Rozmaitości

Dnia 16. Października Ner. 42. Roku 1841.

JUNDZA.

ZDARZENIE NA WOŁOSZCZYZNIE.

Z ROSSYJSKIEGO.

»Byłeś też kiedy w Bukarescie?« — »Nie.« »Szkoda, wielka szkoda! i zapewne już nie będziesz?«—»Jeszcze większa szkoda!« — Co to za miasto, co za domy, co za kobiéty w tym Bukarescie? Znajdziesz tam włoskie oczy, grecki profil, dziką piękność Cyganki. Jeżeli będziesz wjéżdżał do miasta wieczorem koło ósméj lub dziewiątéj godziny przez *Kolentynę* lub *Cherestrco*, ulicą *Podu-Moguszu*, zdziwi cię szereg wiédeńskich pojazdów, błyszczących szorów, magdeburskich koni, Arnautów w malowniczych pstréj barwy kolorach za pojazdami Bojarów w zbytkowych azyjatyckich ubiorach, a *Kukony* (niewiasty) postrojone podług paryskiego *Journalu* mody. Pstrokatość ta ćmi oczy i zdawać się może, iż w Bukarescie obchodzą jakie uroczyste święto; wcale nie: jest to codzienna zabawa Wołochów, którzy każdego wieczora z tą samą okazałością powtarzają też same przechadzki. Co to za spaniała ulica *Podu-Moguszu!* Ileż tam można widzieć murowanych domów o dwóch piętrach, pokrytych blachą żelazną lub gontem. Ulica ta, jestto newski prospekt Bukarestu, przerzyna całe miasto, i dla tego nie można nic takiego pomyślić, czegoby tam nie było! Kościoły, pałace Bojarów, teatr, domy gościnne wszelkiego rodzaju, magazyny i sklepy, zacząwszy od aptéki, aż do garkuchni, w któréj na wysuniętym na ulicę stole, przyłudnym sposobem rozłożono kawałki pieczonéj baraniny. A co tam wina! kąpać się w niem można. Ileż tam wystawiono różnobarwnych butelek i karafek z likierami! A *Szerbetów!* I jakieto szerbety! tysiąc gatunków: różane, czekoladowe, z waniliją i bez wanilii, jeden smaczniejszy i wonniejszy od drugiego. Oto naprzykład w téj cukierni, przed którą na ulicy wystawiono parę dziesiątek krzeseł. Zdziwia cię ta niezwyczajność? Tu po spacerach zjéżdzają się rozpalone *Kukony* ochładzać się lodami, a grzeczni, uprzejmi kawalerowie częstują je niémi. Wyśmienite lody! i nie drogie! po *lewie* porcyja, a *lew* mało co mniéj niż czterdzieści kopijek. Jeżeli wyjdziesz na *funton de fok*, wysoką wieżę pośród miasta na cztérech drewnianych słupach, dla czuwania nad niebezpieczeństwem od pożarów wystawiona, obaczysz jak na dłoni 80,000 mieszkańców, 16,000 domów, metropoliję, 26 monasterów, 89 murowanych a 26 drewnianych cerkwi, kościół katolicki, cerkiew ormiańska, zbór luterski, synagogę żydowską, 35 zajezdnych domów, 4 greckich łaźni, 22 wodotrysków, 4 szpitale i trzy szkoły, z których jedna dla wołoskiego, a druga dla staro-sławiańskiego języka; gmach teatralny, klub i szereg lipskich magazynów, napełnionych wszelkiego rodzaju towarami — i to wszystko na przestrzeni wiorst dwudziestu.—A co to za życie, co za ruch i czynność! Oto przewala się Bojar z rozłożystą brodą, znamieniem wysokiéj dostojności, w szarym szarafanie, podpasany czerwoną przepaską, czerwony *benisz* i szary *iszłyk* na głowie, bardzo podobnéj do naszéj dyni; — oto bose, półnagie Cygany, oto ruchoma chciwość zysku

żyd faktor. Tam Mołdawianin, który wydoiwszy swe pod miastem pasące się stado owiec, wrzeszczy ci pod samem uchem: *»Lapte dulcze.«* — Tu konie, woły, bawoły, tam owce, pojazdy, kolaski, telegi; wszyscy idą, jadą, wszyscy się spieszą, wszyscy zatrudnieni. — Właściciele sklepów nie siedzą z założonémi rękoma w oczekiwaniu kupujących: oni szyją, krają, toczą, smażą, pieką. Wszystko wre, roi się, lata, skacze, wrzeszczy. W zakątach ubocznych ulic czyli *magałach,* jeszcze większy ruch i czynność, ale tam nie zaglądaj, tam sam diabeł nogę złamać może, bruk najlichszy, grząsko, plugawo i ciasno, że dwa powozy rozminąć się nie mogą. Bo i pocóż chodzić po *magałach!* łepiéj obaczyć Dymbowicę, która przerzyna cały Bukarest. Ona wprawdzie nie szeroka, płytka woda jéj podobna do pomyj, ale za to niesie złoty piasek, i na jéj cześć ułożona nader czuła i tkliwa piosenka:

Dymbowica anna dulcze, i t. d.

Nadewszystko największéj uwagi godną i zajmującą osobą w Bukarescie jest Aga bukarestki. — Nie mogłem się nigdy nasycić rozkoszą patrząc na niego. Co za prześliczny mąż; co za spaniała, dobra i mądra twarz! Jaka poważna, czarna, gdzie niegdzie szpakowata broda; to tylko szkoda, że wąż zagnieździł się u Agi w kieszeni, chociaż z resztą w Bukarescie nie pojmują myśli tego sławiańskiego przysłowia. Aga ukształcone ma serce i rozum. Zdziwiłbyś się patrząc, jak przyjemne malują się wyrazy na jego twarzy, gdy wchodząc przemawia do swéj pięknéj gospodyni: *»Czi may facz kukonica.«* Lub gdy na przywitanie odpowiada uprzejmie: *»Synatos!«* Przy ostatniéj głosce robi mały, słodki uśmiech, przeciąga ją długo, że ledwie dosłyszeć można. Lecz w czém go nikt naśladować nie zdoła, jest to, gdy on kogo u siebie przyjmuje, i wskazując ręką na tacę z szerbetem i wodą przemówi: *»Poftim marok!«* W tych słowach takie wdzięczne brzmienie, jakiego w życiu mojém nie słyszałem. Te dwa wyrazy do téj chwili słodko i zachwycająco dźwięczą w mych uszach.

Chociaż wprawdzie Aga nie zasiada w dywanie i ma godność obok Postelniczego; wszelakoż przez wzgląd na familijne związki i na zaufanie Hospodara, żartuje on sobie w duszy i z wielkich Logotetów, i z wielkich hetmanów dywanu, i z wielkich Worników. Urząd jego tak jest ważny, że gdyby mię los mój przy urodzeniu zagadnął, czém bym chciał być na świecie, odrzekłbym, że niczém inném, tylko bukarestskim Agą. — Aga ma do sto tysięcy rocznego dochodu, jest nadzorcą miasta i targów, dowódcą i naczelnikiem policyi; ma on więzienie na własne rozkazy, i sam z dwoma Bojarami sądzi i rozstrzyga sprawy rynkowe. Pragnąłbym żebyś widział, z jaką powagą zasiada na trybunale mój Aga, jak zwolna i cichym głosem rusza ustami, wydając nieodzowne wyroki, i z jakiém uszanowaniem korzą się przed nim jego podwładni. Lub też gdybyś wyszedł na rynek, gdzie płody drobnéj wołoskiéj przemysłowości zgromadzone. O wieniec cébuli, o kawałek baraniny wrzeszczy sto głosów; torby, koszyki, idą z rąk do rąk rzędem; przypatrując i targując się o zapasy żywności: Arnauty probują hubkę i krzesiwo, żydzi trą tabakę, chłopcy kradną jagody, psy obwąchują rozłożone mięsiwa, krzyk, bójka, kłótnie, spory. Aż tu zjawia się Aga, za nim ogromna świta: kapitan *de taraban,* pułkownik *de tyng, logofet de adżi* z zapczymi, czauszami, pandurami i służalcami, niosącymi pęki palcatów — i wszystko umilkło. Przedawcy blednieją, przeglądają towary, cenę zniżają, każdy chwyta za czapkę i pokornie się kłania: a Aga postępuje poważnie, sprawdza taksę, próbuje wagę i — Boże broń jeżeli u kogo znajdzie fałszywą. Tu zaraz na miejscu, bez dalszych wywodów, pośród rynku, każe winowajcy wypalić dwieście lub trzysta bizunów. Aga idzie daléj — i każdy cicho i głośno zasyła wdzięczne modły do nieba za szybkość sądu i sprawiedliwość wyroku.

Aga nie wyjeżdza z miasta. On rzeczywisty postrach Bukarestu. Na przypadek pożaru, stoi u niego dzień i noc osiodłany koń, w nocy zwidza straże po różnych dzielnicach miasta, odprawia ronty i łowi jak muchy złodziejów i oszustów. Zapczyj i słudzy straży publicznéj, nie znali surowszego i czynniejszego naczelnika; rozpusty w mieście ustały, bo schwytanych na uczynku ostro karał: słowem porządek za-

prowadzony do tego stopnia, że nawet po *magałach* nie wyrzucano na ulicę śmieci i niechlujstwa. Aga był stanowczy, surowy, sprawiedliwy, nagradzał jedynie tych, którzy gorliwie wypełniali jego rozkazy i mieli baczność o dobro publiczne. Nikomu nie przebaczał, codzień ćwiczyć kazał po kilkadziesiąt ludzi, w liczbie których częstokroć znajdowali się dworzanie wielkiego Bana i wielkiego Wornika.

Aga zaszczycał się szczególnémi względami Hospodara. *Kukony,* ledwie że się nie biły o niego, jako o pięknego i grzecznego mężczyznę, a spółobywatele poważali go jako anioła stróża publicznego pokoju. Mnóstwo rozpowiadano anegdot o jego przytomności umysłu, odwadze w czasie pożarów, lub gdy łowił po mieście złodziejów. I dla tego gdyś się spytał kogo-bądź o Agę, ani słowa nie odpowiedział, zrobił tylko poważną minę, mrugnął lewém okiem i klasnął językiem. A ta niema fraza wymowniejszą była niżeli wszystkie pochwały w Grecyi i Wołoszczyźnie; po naszemu znaczyłoby to: Aj to głowa! wielka, niepospolita głowa!

* * *

Jużto podobnoś takie przeznaczenie mieszkańców tego naszego planety, że każdego na nim a nawet samego bukarestskiego Agę spotkać musi zła chwila. Od niejakiego czasu nasz Aga stał się ponurym, zamyślonym. Pod spaniałym łbem jego częstokroć zsuwały się brwi jedna do drugiéj, rzadko wyjeżdżał na *płymbare do Cherestreo* i do *Kolentynu,* przestał nawet odwidzać *Kukony,* tak właśnie, jak gdyby już ani ognistych oczów, ani czarnych brwi nie miały. Arnaut *Czubukczy,* który był obowiązany podawać mu lulkę, spostrzegał, że bez względu na kosztowny bursztyn, na czystość cybucha i wonność tytoniu, nigdy nie wypalał lulki, gasła ona w samym początku. Aga nie rozkazywał podawać sobie ani kawy, ani *dulczenu:* zamykał się w swoim gabinecie, przemyśliwał całe nocy, nieustanne wydawał rozporządzenia; *Zapczyj* i *Pandury* latali do niego z raportami, a on coraz stawał się więcéj milczącym i posępniejszym. Przez cały czas dziesięcio-letniéj władzy jego w Bukarescie, nikt go nie widział w podobném położeniu.

I cóż to oznaczała ta okropna zmiana? Oto następujące zdarzenie:

Zjawił się pod-ówczas na Wołoszczyźnie rozbójnik Jundza, który zwrócił na siebie oczy i uwagę nietylko Agi, ale oraz całego kraju. Latał on jak wicher, jak mara, jak dzika fantazyja młodych poetów, których zresztą nie masz dotąd na Wołoszczyźnie, lecz bez wątpienia wkrótce się pojawią. Niekiedy w jednym i tymże samym czasie pokazał się koło Rymnika pod Michaleszty i w okolicy Krajowéj, i tym sposobem plątał i wikłał wszystkie prześladowania policyi. Nie dosyć na tém: bardzo często bywał on w Bukarescie bez najmniejszéj trwogi, jak gdyby był miejscowym, uczciwym i spokojnym obywatelem, i to rozniosło niesłychany postrach na całą ośmdziesiąt-tysiączną ludność stolicy wołoskiéj; postrach ten przedarł się aż do wielkiego dywanu i wstrząsł tamże najtęższe głowy i najdłuższe brody. Główny naczelnik bezpieczeństwa całego państwa wielki *Spatar,* rozgniewawszy tylko Jundzę swémi bezpożytecznemi śledztwami, drżał co chwila o swę własną dostojną osobę, a nakoniec stanowczo umyślił nie draźnić na próżno rozbójnika. Na ówczas wszyscy: Hospodar, Bojary, i cały naród położyli nadzieję w Adze, błagając go, by spokojność i bezpieczeństwo publiczne ocalił.

Dziesięć lat wierzyli obywatele w nieustraszoność, mądrość i dzielność Agi, a teraz jeden oberwisz Jundza ośmielił się bańbić jego czarno-szpakowatą brodę! Drugi już rok szuka go Aga z nieznużoną bacznością dozorcy porządku, zmordował on całą swę policyję, codziennie udawał się osobiście z swą przyboczną strażą w najsamotniejsze *magały,* ale rozbójnik śmiejąc się z niego, przechadzał się śród białego dnia po Bukarescie.

Niesłychane zuchwalstwo! śmiałość nie do zniesienia! — Razu jednego w niedzielę przyjechał na siwym koniu na bazar, wysoki, przystojny Arnaut. Długo przechadzał się pomiędzy kramami, kupił krzesiwo, dwa funty tytoniu, zjadł obiad, napił się kawy, podkuł konia, i zbliżywszy się do tłumu zebranego przypadkowie pospólstwa, rzucił pomiędzy nie garściami monetę *połmachmudy*

zwana, i rozkazał powiedzieć Adze, że Jundza zupełnie zadowolony porządkiem, który on swą surowością na rynku utrzymuje. Słowa »Jundza, Jundza, Jundza« rozniesło się pomiędzy ludem, tłum się rozskoczył: czauszy i pandury rzucili się z orężem, powstało zamieszanie, a Jundzy już nie było... Z daleka tylko unosił się tuman kurzu i srébrzysty ogón konia jego... Aga wyrywał sobie włosy z brody.

Drugą razą przedstawiała wałęsająca się trupa aktorów włoskich u Antonakiego: *Sewilskiego Cérulika.* — Zgromadziła się liczna publiczność widzieć rzadkich gości. Urodziwy baron, który przyjechał z Transylwanii, z rudemi wąsami w czarnéj węgierce, siedział w krześle podle Agi; zapaleniec i znawca muzyki, z nadzwyczajną uwagą śledził każdą półnótę. Twarz jego rumieniła się od zachwycenia, a dłonie od oklasków. Między aktami, które dosyć długo przeciągały się, rozpowiadał Adze niemiecko-wołoskiém narzeczem o wiédeńskiéj i medyjolańskiéj operze, o wszelakich nowościach muzykalnego świata, a w ciągu żywéj rozmowy, która, jak widzieć było można, ciekawego Agę wielce zajmowała, gdyż ten do swych innych zalét i zamiłowanie pięknych wiadomości przyswajał, brał baron kilkakrotnie tabakę z jego tabakierki.— Gdy się sztuka skończyła, pożegnali się bardzo zadowoleni z siebie, można powiedzieć nawet zaprzyjaźniwszy się. Drugiego dnia otworzywszy Aga tabakierkę, znalazł w niéj karteczkę z następującém pismem: »Jundza dziękuje szanownemu Adze, »za rozkosz wczorajszego widowiska. Poczyta so»bie za obowiązek korzystać z jego gościnnego »zaproszenia, i spróbuję kiedyś jego *dulczeny.*«

Aga targał włosy na brodzie.

Pewnego razu dał znać do wsi Priponeszti, do tamecznego *Mazyla,* że przybędzie do niego w gościnę i zalecił, ażeby na przeznaczony dzień przygotował półmisek napełniony *połmachmudami.* Zapczyj z pandurami obsaczyli wieś i czatowali zbrojno po domach i ogrodach. Nastąpiła noc ciemna i słotna. Pandury przyzwyczajeni na próżno oczekiwać na Jundzę i przemokłszy do nitki, poszli zagrzać się do karczmy, porozstawiawszy straże po wszystkich ścieżkach. Niemiłosiernie przechwalając się, że schwycą Jundzę, byle im tylko wpadł w ręce, z nudów pili mocną *Rakicę,* wódkę pędzoną z owoców, tak dalece, że przed świtem wszyscy usnąwszy, jak miechy chrapali. Jundza spadł jak tucza z swą odważną bandą, powiązał pandurów, i kazał im wyliczyć po dwieście bizunów, napominając: »To macie za to, ażebyście napotém byli spra»wniejsi i rozumniejsi. Kiedy was wysyłają ło»wić rozbójników, nie chodźcie do karczmy pić »*Rakicę.* Mocno ubolewam nad moim przyjacie»lem Agą, on roztropny człowiek, ale cóż zrobi »z taką hołotą jak wy.—Otóż każę wam jeszcze »po sto wsypać i spodziewam się, że mój przy»jaciel Aga nie zgani mi tego.« Poczém pojechał do dworu, wziął od *Mazyla* podatek, napił się kawy, i tyle go tylko widziano.

Aga nie mógł już wywrzeć gniewu swego na brodzie, on po prostu opuścił ręce.

W małéj Walachii zażądał Jundza od Bojara mieszkającego we wsi Koziy, w poblizkości gór karpackich, ażeby odliczył dwieście czerwonych złotych, wszelakoż nie cesarskich, lecz nowych holenderskich i wyznaczonego dnia złożył je w dupło starego jaworu, który stał na polanie naprzeciwko wsi. Bojar wiedział dobrze, że z Jundzą żartować nie można. Termin był krótki, odliczył więc złoto i drzącą ręką spuścił je do fatalnego dupła. Tymczasem we wsi Koziy i okolicznych górach, rozłożono krajową milicyję, sam sprawnik przyjechał z *Kampanunga,* i przysięgał Bojarowi na swę głowę, że musi pojmać zuchwałego rozbójnika. Po wszystkich ścieżkach rozesłano oddziały straży, ażeby mu znać dawały, gdy się banda zbliży. Piechotę zaś utaił w owczarni.

Około południa przyczwałował pandur z gór z doniesieniem, że o pięć wiorst banda rozbójników zatrzymała się dla odpoczynku. Wszyscy się zmieszali. Sprawnik zebrał wszystkich konnych pandurów, rozkazał im wziąć od gór tył bandzie, i tajemnie zbliżać się za rozbójnikami ku wiosce, a sam poprowadził pieszych, ażeby otoczyć rzeczony jawor z przeciwległéj strony. Z lewéj strony jaworu szła droga do wioski, a z prawéj wznosiła się przykro-spadzista wysoka góra. Nié masz już ratunku dla Jundzy. Nie można było wybrać lępszego miejsca chciawszy go zrobić *szach mat.* Żywcem go schwyta sprawnik i całą zuchwałą zgraję, sam go przedstawi Hospodarowi, a Jego Wysokość w nagrodę za tyle gorliwości i odwagi koniecznie zrobi go wielkim *armaszem* albo półkownikiem *de Adżi.*

W tę samę chwilę przechodził przez wieś bosy Cygan w obdartéj kurtce z rozmamaną piersią. Nie zwracając bynajmniéj uwagi na wojenne przygotowania i zamiészanie, które we wsi panowało, śpiewał sobie ze zwyczajną niedbałością Cygana:

Spuni Spuni Mołdowane,
Unde drumu la Fokszani?
Unde kasa mititika
Este fata formoszika.

(Powiedz powiedz Mołdawianie,
Gdzie jest droga do Fokszan?
Gdzie chata maleńka
Tam piękna dziewczynka.)

Dla dokładniejszego zasłonięcia zbrojnéj pozycyi, rozkazał sprawnik mieszkańcom wioski, ażeby się trudnili swémi codziennémi pracami, a to dla tego, by nie wzniecić żadnego podejrzenia o bytności krajowéj milicyi.

Pandur przypędził co tylko koń mógł wyskoczyć, z doniesieniem, że Jundza ruszył z odpoczynku ku wiosce.

»Jak gdyby umyślnie idzie ten Cygan i śpiéwa!« rzekł sprawnik wychyliwszy głowę z za podwyższenia. »Jundzie i na myśl nie przyjdzie, że my go tu oczekujemy, jako drogiego gościa!«

Cygan jak szedł, tak szedł, jak śpiéwał tak śpiéwał, wprost skiérował drogę do jaworu, wpuścił rękę w dupło, wyciągnął sakiewkę ze złotem—i zaczął spokojnie liczyć i przypatrywać się dukatom.

»*Kukonaszule!*« wrzasnął Bojar na sprawnika. »Patrzcie, patrzcie! Cygan wziął piéniądze. Jakże on je wypatrzył?«

Drugi pandur przyleciał z wiadomością, że Jundza już pod samą wsią.

»Co ty tu robisz?« krzyknął sprawnik na Cygana: »Idź precz ty diabelskie plemię! coś wziął połóż natychmiast...«

Lecz Cygan ciągle przypatrywał się złotu, jak gdyby nie słyszał obelgi.

»Ten łotr zepsuje nam całe dzieło« przerwał *Zapczyj*. Na wszelki wypadek wziąłem sześć najzjadliwszych psów z łańcucha. — Czyby ich nie spuścić?«

»Cały dzień nie żarły, niechby się Cyganem posiliły.«

Rozpuścił *Zapczyj* swory, świsnął—i sześć brytanów ogromnych, które sałaszu pilnować zwykły, rzuciło się zajadliwie na Cygana. Cygan ciągle rachował złoto, lecz w téj chwili, w któréj psy gotowe były rozszarpać go w kawałki, włożył sakiewkę w zanadrze, wyjął dwa z żelaza ulane kiścienie na cieniutkich sznurkach, machnął dwa razy rękoma, i cztéry psy padły nieżywe. Pozostałe dwa zwinąwszy ogon pod siebie, jeszcze z większym pośpiechem niż piérwéj puściły się do wsi.

Rozśmiał się Cygan w głos, schował kiścienie i przyśpiéwując swoję piosenkę, zwolna i spokojnie w dalszą puścił się drogę.

Sprawnik i wojsko straciło głowę.

»Cóżto za diabeł!« krzyknął Bojar. »Może to sam Jundza? Wszakże on pisał, że w samo południe przyjdzie po piéniądze, a teraz właśnie dwunasta godzina.«

»W saméj rzeczy« odpowiedział sprawnik, »teraz dwunasta. Cóż ja za głupiec, żem należycie nie przeczytał pisma.«

Imię Jundzy magicznie zabrzmiało w uszach żołniérzy. Sprawnik oglądnął się: przy nim była tylko sama piechota, konnica udała się wziąć tył bandzie. Puścił się sam cwałem gonić rozbójnika, krzyczał, ażeby strzélano, ażeby go na miejscu położyć. Lecz pandurom drżały ręce i z pośpiechu i od imienia Jundzy: biegli oni lecz nieśmiało, strzélali nie célnie. A tym czasem bosy Cygan rączo poleciał na stromo-przepaścistą górę i skrył się ich oczom, potém zjawił się na drugim wiérzchołku w odległości, w rozjaśnionéj atmosferze górnego powietrza, w tych samych łachmanach Cygana, lecz już na karym suto i bogato ubranym koniu. Dumnie spojrzał na dolinę, gdzie obok sprawnika mnóstwo ludu w zdumieniu około starego jaworu zebrało się. Wystrzelił z pistoletu, a banda, która w różnym kierunku rozsypała się przed pandurami, okrążyła swojego atamana.

Wysłuchawszy téj powieści Aga, tylko oczy wzniósł do nieba... »Niestety! on już tracił wiarę i zaufanie we własne swe siły i zręczność.«

* * *

Powiédzcież nam przynajmniéj, któżto jest ten Jundza? W całéj Wołoszczyźnie nikt nie wiedział o jego pochodzeniu. Niespodzianie zjawił się w górach, zebrał bandę desperatów i z nią po całém księztwie koczował. Zresztą więcéj płatał figlów niżeli rabował, brał daninę tylko od bogatych Bojarów i *Mazylów*, a wspomagał biédnych chłopków i nieszczęśliwych kochanków. Nigdy on nie przeléwał krwi ludzkiéj. Rozpowiadano o nim mnóstwo rozlicznych do prawdy niepodobnych baśni. Jedni twierdzili, że on znakomity węgierski książę, który z jakiejsić ważnéj politycznéj przyczyny zmuszony był opuścić ojczyznę; drudzy mówili, że on prosty Cygan, trzeci że on bogaty Bojar, który zaciągnął się między rozbójników, z powodu nieszczęśliwéj miłości; inni że on kobiéta, inni że żyd, niektórzy mieli podejrzenie po prostu, że on Napoleon!—Nikomu nie była znana jego prawdziwa osoba, ani pewna zwyczajna odzież, pokazywał się i młodym i starym, blondynem i brunetem, w złocie i w łachmanach, Bojarem i Arnautem, modnisiem niemieckim i żydem, mnichem i kobiétą. Nawet dwaj pojmani z jego bandy rozbójnicy pod przysięgą zeznali, że prawdziwéj twarzy Jundzy nie widzieli. — Ta niepewność i tajemniczość była powodem, że lud prosty mnóstwo śmiésznych i dziwacznych zdarzeń o nim rozpowiadał, o których on sam nigdy i nie pomyślił. Gubiąc się w domniemaniach, przypisywał mu lud zabobonny nadprzyrodzone własności. Mówiono, że ma ziele, które go

czyni niewidomym, że posiada kobierzec samolot i bóty samochody. Na tém opiérając się, poczytywano go za wilkołaka, a matki chcąc uspokoić wrzask niesfornych dzieci, Jundzą je straszyły.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

TOWARZYSTWO MIŁOSIERDZIA
WE FLORENCYI.

Wydarza się czasem, iż będąc w teatrze *Pergola,* śród opery lub *pas-de-deux* daje się raptem słyszeć przerażający i przenikliwy głos dzwonu. Na ówczas zaczynają się loże przerzedzać, a częstokroć towarzysz twój, jeżeli on jest mieszkańcem Florencyi, opuszcza cię bez ceremonii śród rozmowy, chwyta za kapelusz i oddala się z teatru. Cóżto jest za dzwón? Zkąd pochodzi takie zamieszanie? zapytasz się, jeżeli jesteś cudzoziemcem. Jestto dzwón miłosierdzia, towarzysz twój rozmowy jest członkiem miłosierdzia; spieszy on do swego obowiązku. Towarzystwo miłosierdzia we Florencyi jest bez wątpienia jedną z najpiękniejszych instytucyj na świecie. Z[illegible]ązane w 1244 roku z powodu częstego morowego powietrza, które srożyło się w trzynastém stuleciu. W głównych zasadach dotąd się nie zmieniło. Tak jak i dawniéj składa się z siedmdziesięciu dwóch członków, którzy się zowią dzienną starszyzną i koleją między sobą co cztéry miesiące służbę i obowiązki sprawują. Ci siedmdziesiąt dwóch bracia dzielą się na cztéry porządki: do piérwszego należy dziesięciu wyższych duchownych prałatów, do drugiego dwudziestu niższych kapłanów, do trzeciego cztérnastu obywateli ze stanu szlachty, a do czwartego dwudziestu ośmiu artystów. Członkowie ci podług piérwiastkowego planu są reprezentantami wyższych klas społeczeństwa i wolnych umników. Sto pięć osób z niższego ludu i wyrobników, przyjętych do towarzystwa, przedstawiają naród pospolity.

Członkowie schodzą się zwyczajnie przy farnym kościele. Każdy z braci ma swój schowek, w którym znajduje się czarna kapa, zwyczajna w bractwie pokutników. Tę gdy przywdzieje, ledwie mu oczy i usta widzieć można. Nieszczęśliwy częstokroć obsypany dobrodziejstwami żadnym sposobem wiedzieć nie może, kto jest jego dobrodziejem. — Jak tylko który z przewodniczących braci dowie się o jakiém nieszczęśliwém wydarzeniu, znany wszystkim dzwón uderza raz, dwa, lub trzy, stósownie do ważności wypadku. Na odgłos dzwonu, członek społeczeństwa gdziekolwiekby się znajdował, i czémkolwiekby się trudnił, rzuca wszystko i niezwłocznie spieszy na miejsce zgromadzenia. Tu dowiaduje się o nieszczęściu, przywdziéwa czarną szatę, z maską na twarzy, nasuwa na głowę ogromny kapelusz, bierze w rękę zapaloną świécę i udaje się spieszno w miejsce, gdzie jego pomoc potrzebna. Ranionego natychmiast zanoszą do szpitalu lub do domu, a umarłego składają w kaplicy. Magnat i prosty wyrobnik, odziani w jednakowy habit, z równą gorliwością służą nieszczęśliwemu, a ten nie znając ani jednego ani drugiego, modli się gorąco za obu. Gdy się bracia oddalą, ojciec, matka, mąż lub dzieci ciérpiącego, znajdują zawsze szczodrą jałmużnę, zostawioną niewidomą, dobroczynną ręką.

Mówią, że sam panujący teraz Arcyksiążę, jest członkiem tego społeczeństwa. Na odgłos dzwonu, Wielki książę równie z prostym rzemieślnikiem, przebiéra się w mniszy habit, i spieszy w pomoc nieszczęśliwemu ciérpiącemu, lub do łoża umiérającego nędzarza. Tylko hojny podarek zostawiony w domu biédaka, domniemywać się każe o bytności monarchy.

Bracia miłosierdzia obowiązani byli także towarzyszyć skazanemu na śmierć, w miejsce publicznego tracenia; lecz od czasu wstąpienia na tron Ferdynanda, ojca teraźniejszego panującego Wielkiego księcia, kara śmierci prawie całkowicie zniesiona, a zatém bracia uwolnieni są teraz od téj przykréj powinności.

Po dopełnieniu obowiązku, każdy członek towarzystwa wraca na dawne miejsce do fary, zdejmuje szatę i kapelusz, składa świécę, i udaje się do piérwszego swego zatrudnienia lub zabawy. ***Z Biblijoteki dlia Cztenija 1841.***

ZE LWOWA.

Zakład naukowy imienia Ossolińskich wydawać zacznie z rokiem 1842 w ćwierćrocznych zeszytach pismo czasowe, pod tytułem: *Biblijoteka zakładu imienia Ossolińskich,* poświęcone dziejom, rozprawom i wiadomosciom naukowym; — jako ciąg dalszy *Czasopisma naukowego.* Każdy zeszyt zawiérać będzie najmniej arkuszy 10; dołączone także będą tablice, podobizny i kamienioryty.

Tygodnika rolniczo-przemysłowego pod Redakcyją T. W. Kochańskiego, wyszedł Nr. 41. i obejmuje: 1) Jeszcze słów kilka o siejbie. 2) O sposobie budowania cegielni i wypalania cegły torfem w Schussenride w Królestwie Wirtemberskiém, przez pana Zobel, kadeta górniczego. 3) Kartofle jako karm' dla koni. 4) Srodek przeciw świerzbom psów. 5) Wiadomości czasowe.

Ner. 20. *Dziennika mód paryskich,* wydawanego przez Tomasza Kulczyckiego, zawiéra procz mód, następujące artykuły: 1) Wycieczka do Berchtesgaden, przez W. Chłędowskiego. (Dokończenie). 2) Piosnka z dali, wiersz. 3) Córka jenerała (powiastka). 4) Rozmaitość.

Cesarz rossyjski obdarzył akademiję petersburską kilką ważnemi, pod względem dziejów rossyjskich z roku 1704 rękopisami; między témi jest blizko 400 dokumentów, które na polecenie Turgenewa z oryginalnych manuskryptów w Watykanie przekopijowano; w jednym z nich zawarte są szczegóły z dziennika podróży Jeremiego z Konstantynopola do Moskwy, w innych znowu opisane są wojny, które pomiędzy latami 1568 i 1650 w Rossyj zaszły.

Silvio Pellico. Dziennik marsylski, z którego wiadomość o śmierci Silvia Pellica przeszła do innych gazet, ogłosił teraz sam, że ta wiadomość jest bezzasadną.

Już nawet w wschodniéj Syberyi założono **instytut dla panien szlacheckich.**

Największa śklarnia w świecie. Anglicy mają upodobanie w osobliwościach i pieniądzmi przywodzą je do skutku. W Chatsworth zamienili w śklarnię cały morg pola. Przeszło 70,000 stóp kwadratowych pokryto śklannémi taflami, i całą tę przestrzeń ogrzéwają gorącą wodą, którą kanałami prowadzą. Śklarnia ta urządzona jest nakształt ogrodu i zaopatrzona ścieżkami i drogami, tak, że goście po tym czarodziejskim ogrodzie konno i powozami przejéżdżać się mogą. Rosną tam na wolnym gruncie najrozmaitsze podzwrotnikowe rośliny i kwiaty. W środku urządzone są małe potoki i kotliny dla skrapiania téj plantacyi.

Piasek ruchomy niedaleko „góry St. Michel. Jedno z pism francuzkich zawiéra o ruchomym piasku niedaleko góry *St. Michel* następujące podanie: Piasek ten był widownią nie jednego smutnego wypadku; pale od miejsca do miejsca powbijane, wskazują drogę, któréj wędrowiec trzymać się musi. Kto z niej zboczy, naraża się na największe niebezpieczeństwo. Przed kilku laty zapadły się tu dwie włościanki, siostry, razem z młodym człowiekiem, który im w pomoc spieszył. Skoro kto po kolana zagrzęźnie, ten zginął nieochybnie, bo usiłując wydobyć się z piasku, przez to samo coraz głębiéj w piasku tonie. Jestto straszliwy, okropny rodzaj śmierci! Przepaść zamyka się nad głową swéj ofiary i już jéj nie wypuszcza. Czyliż katastrofa Rawenwooda w »*Oblubienicy z Lammermoor*«, który w takiż sam sposób z oczu naszych znika, nie sprawia okropniejszego wrażenia, niżli sztylet krwawy? Nikomu niewiadoma jest głębia téj przepaści. W r. 1780 wpuszczono w nią kamień ważący trzy cetnary, do którego przywiązano sznur mający 40 stóp długości. We dwadzieścia cztéry godzin później, już ani śladu po nim widać nie było. W tymże samym czasie zatonął tamże cały okręt, który w pobliżu góry się rozbił; nawet maszty jego zniknęły. Można sobie wyobrazić ogromną masę piasku i położenie samotnego wędrowca, którego w zdradliwéj puszczy, śród nieznanych przepaści, gruba mgła zaskoczy, i któremu nie tylko piasek, ale nawet woda niebezpieczeństwem grozi, bo skoro wylew nastąpi, naciérają odmęty morskie prawie z równą szybkością jak biegun najrączejszy.

Guziki i dziurki od guzików. W dniach dzisiejszych odbiéra zaszczyt dziurka od guzika, a niegdyś guzik go odbiérał. Takto zmieniają się wyobrażenia. Wytworność wieków minionych używała książęcego przepychu a nawet marnotrawstwa w guzikach. Rujnowano swój majątek na guziki z rubinów, dyjamentów, topazów i t. d. i przedawano lub zastawiano za nie dobra dziedziczne. »Którąż majętność mam na mój frak zastawić?« zapytał niegdyś Roué swego krawca. »Czy włość w Normandyi czyli też pałac nad Mainą?« Wydarzało się także, iż do guzików nowe suknie dorabiać kazano; równie jak dziś nowe guziki do starych sukien dorabiają. Dziurka od guzika nie jest tak kosztowną. Młodzież nasza stała się oszczędniejszą. To, co się dzisiaj w dziurkę zakłada, jest bardzo piękne i niedrogie, jest to mniej więcéj świeży kwiatek, mniéj więcéj czerwona wstążeczka. Atoli z dziesięciu lub dwunastu dziurek od guzików, jakiémi zwykle frak jest zaopatrzony, li tylko jedna doznaje tego szczególnego zaszczytu otrzymania modnego kwiatka lub wstążeczki orderowéj: jest to dziurka, która prosto na sercu leży. Dla tego też w dziurce od guzików u niektórych osób spostrzegamy częstokroć kwiatek zwiędły. Wszak kwiaty na jałowym gruncie snadno usychają.

Akt przysięgi u Kałmuków. Na uwagę zasługuje wstręt, jaki mają Kałmuki od przysięgi przy wytoczeniu procesu. Nie znają oni większéj nieprzyjemności w świecie, i wolą raczéj zrzéc się wszelkiego prawa niż przysięgać. Przysięga u nich jest dwojaka: W sprawach mniejszéj wagi przysięgają na skórę z głowy niedźwiedziéj; w ważniejszych zaś na ostro nabitą strzelbę, któréj lufę nakrytą miedzianą monetą, przysięgający pocałować musi. Podczas tego aktu ustawiają na cepkach strzelbę, z któréj po złożonéj przysiędze w powietrze wystrzélają. Wtedy wszyscy świadkowie i powinowaci tego, który żądał przysięgi, plują w oczy przeciwnikowi, a ten usiłuje jak najspieszniéj skryć się przed nimi.

Nic nowego pod słoncem. Jak w dziedzinie pomysłów i spekulacyi, tak też w dziedzinie fizyki jest niemało ważnych wynalazków, których początkowego twórcy nie znamy. Bacon, doktor magik, jak go spółcześni mianowali, chociaż jawny nieprzyjaciel magii i cudotworstwa, ponieważ był tego przekonania, że sztuka połączona z siłą natury, nierównie większe cuda zdziałać może, niż mniemane nadprzyrodzone potęgi— Bacon już w trzynastym wieku, a zatém na długi czas przed istnieniem towarzystw badających naturę, przeczuwał wiele ważnych odkryć, które dopiero teraźniejszéj fizyce się powiodły. »Mogą być wynalezione«, mówi on »narzędzia, za pomocą których największe okręty pod kierunkiem jednego człowieka szybciéj płynąć będą niż te, które wielką osadę mają; można wymyślić do latania narzędzie, w którém człowiek wygodnie siedząc, bez przerywania myśli swoich, sztucznémi skrzydłami podobnie jak ptak powietrze przerzynać będzie; można zbudować powozy, które bez pomocy zwiérząt z niewymowną szybkością toczyć się będą; do dźwignienia lub spuszczenia najogromniejszych ciężarów, potrzeba tylko będzie wynaleźć małe narzędzie, można wynaleźć sposób, którym jeden człowiek kilka tysięcy ludzi mimo ich woli ku sobie pociągnąć zdoła, podobnież można wymyśleć machinę, za pomocą któréj ludzie na dnie morza lub rzek bezpiecznie chodzić będą mogli.« W tych pomysłach jenijalnego filozofa, nie sąż zawarte: napowietrzny balon, dzwón nurkowy, statki i wozy parowe, nakoniec siła dźwigni i wody?

Panna Rachel stawi nam piękny wzór artystki, która coraz bardziéj doskonalić się stara. Hrabia A., Francuz, mówił z nią w Londynie o różnych rolach, a nakoniec wspomniał o Fedrze. Na to ożywiła się cała twarz panny Rachel. »Roli Fedry«, rzekła, »uczę się już trzy lata. Mogłabym ją grać jutro, gdybym chciała, a jednak nie sądzę, aby dla mnie było z korzyścią wystąpić w niéj przed pięcią lub sześcią laty. Nie czuję się jeszcze zdolną do oddania tak wielkiego utworu. Drżę już na samo wspomnienie, że kiedyś w niéj swoich sił doświadczać będę.« Mówiąc te słowa, — opowiada hrabia — wzniosła smętnie oczy w niebo, i zaczęła zwolna wygłaszać ów piękny wiersz: »Ach! obym ja z nim razem w smętnéj

puszczy była!« Twarz i głos jéj przybrały w tej chwili najwyższy wyraz dramatyczności i sprawiły na mnie tak wielkie wrażenie, żem sobie dał słowo przyjechać do Paryża, choćbym był na końcu świata, skoro mnie wieść dojdzie, że panna Rachel w *Théâtre français* Fedrę grać będzie.

Szczegóły o sławnych kompozytorach. W dzienniku: *France musicale* umieszczony jest podpisany przez p. Leona Lespès artykuł: »*Singularités des compositeurs lyriques*«, w którym skréślone są charakterystyczne rysy kilku kompozytorów paryskich. I tak Rossyni ma mieć tak wielkie upodobanie w klarynecie, że z tąd zawiązała się ścisła przyjaźń między nim a głównym redaktorem pisma: *Courier Français*, panem V. de la Peleuze, który się grą swoją na tym instrumencie odznacza. Rossini napisał umyślnie dla tegoż redaktora *solo* na klarynet, które pisane własną ręką kompozytora, pan de la Peleuze dotychczas przechowuje. — Berlioz ma komponować wtedy, gdy mu małżonka jego (niegdyś miss Smithson) przy fortepijanie wygłasza najpiękniejsze sceny z Szekspira. O tej pani Berlioz opowiadają anegdotę, iż raz rzekła do Julijusza Janin: »Mości Janin, wszak wpan nie umiész po angielsku?«— »Nie wiele moja pani.« — »A jakże mogłeś przetłumaczyć Sterna?« — »Zrozumiałem go wtedy, gdym słyszał jakeś go pani głośno czytała«, odrzekł Janin z uprzejmością.

Okręt francuzki *Roland* płynąc do Rio-Janeiro spotkał okręt angielski *India*, który mając na pokładzie 216 osób i płynąc z Londynu do Nowego Orleanu zapalił się. Ośmnastu ludzi zginęło bądź w płomieniach bądź w morzu; reszta z nich to jest 198 schroniła się na pokład okrętu *Roland* i do Rio-Janeiro się dostała.

Drzewo mahoniowe (Kant gniewał się ile razy to drzewo w obecności jego mahoniem nazwano); jest dopiero niemal od ośmdziesięciu lat znane. Odziemek z niego przywieziony jako balast z Jamaiki do Londynu, spoczywał długo bez wszelkiego użytku w szopie, w której różne gatunki drzewa złożone były, aż nakoniec pewien lord kazał sobie z niego meble sporządzić, a za jego przykładem poszła znakomita szlachta londyńska. Drzewo z Jamaiki ma najpiękniejszy flader, a z czasem prawie całkiem czarnieje. Hawanna wydaje blade drzewo, które tamże nie bardzo jest cenione. Palisadami z tego drzewa są tam okopy oparkanione.

W pruskim dzienniku ministeryjalnym pod względem administracyi krajowéj zawarte jest rozporządzenie gabinetu z dnia 12go maja r. b., w którém król oznajmia, iż urzędnikom nie wolno bynajmniéj nadużywać kredytu swych wierzycieli, a mianowicie rzemieślników, ani téż przy exekucyi zasłaniać się tym przywilejem, że im z pensyi długi odciągane być mogą. Król rozkazuje, aby mu o takowych urzędnikach donoszono, a według okoliczności nawet ich z służby oddalano. Gdyż w Prusiech nie wolno urzędnika więzić za długi, ani też w drodze exekucyi zagrabiać pensyi jego, jeżeli takowa 400 talarów nie wynosi. Ale jest oraz rozporządzenie, na mocy którego urzędników pobierających taką pensyję a nadużywających tego przywileju, podobnież z urzędu złożyć należy.

Grób Gellerta. Doktor Strauch, dyrektor szpitalu chorych w Petersburgu, kazał w Lipsku w kościele św. Jana opasać żelazną kratą grób poety i filozofa, Krzysztofa Gellerta, który do tych czas drewnianą kratą był otoczony. Zamyślono także postarać się o imionnik dla tych, którzy miejsce jego spoczynku odwidzają. Na uwagę zasługuje ta okoliczność, że ten sławny, czcigodny zmarły bardziéj cudzoziemców niż krajowców obchodzi. Na pomnik, który w kościele świętego Jana w Lipsku na pamiątkę Gellertowi w kilka lat po jego śmierci wzniesiono, przyczynili się szczególniéj Duńczyki, Polacy i Liwończyki.

Dziwactwo artystowskie. W jednéj z ulic paryskich jest już od dawna bardzo piękny sklep strojów damskich. Panny zostający w tym sklepie uważały od niejakiego czasu wysokiego, chudego człowieka, który co wieczora przez okno do nich zaglądał. Z początku nie dziwiły się temu modniarki, poglądały na chudego człowieka, i czyniąc nad nim różne uwagi, sądziły, że ta wizyta u okna, zapewne jakiś miłosny powód mieć musi! Dziewczęta zaczęły jedna drugą sekować, ale nareszcie im cierpliwości zabrakło, gdy nieśmiały jegomość po upływie kilku tygodni do żadnéj z nich ani z listem ani też z oświadczeniem nie wystąpił. Wytoczono więc proces kawalerowi. »A to jest za nadto«, rzekły skromne damy, »już dłużéj nie zniesiemy téj zuchwałości!« — »Po co wpan już od kilku miesięcy co wieczora tutaj zaglądasz? Czego wpan żądasz?« zapytała jedna z najśmielszych przez okno. — »Ja szukam, moja lubeczko!« odrzekł suchy Długosz. — »Wpan szukasz? No, czego wpan tu szukasz?« — »Ja szukam finału trzeciego aktu do opery: *Książe Alba!*« — Teraz się pokazało, że tym jegomością był kompozytor Donizetti. Jestto w samej rzeczy jego zwyczajem szukania do swoich oper melodyi! Donizetti wałęsa się wieczorami po ulicach, zagląda w różne kąty, poczem wraca swobodnie do domu i komponuje. Co wieczora ujrzec go można między godziną siódmą a ósmą, jak za tonami po ulicach Paryża na łowy chodzi.

Jedno z pism Gandewskich zawiera następujące szczególniejsze uwiadomienie, które tu dosłownie umieszczamy: »Młody człowiek mający lat 24, dobrego urodzenia, umiejący po grecku, po łacinie, biegły w historyi, pięknych umiejętnościach, matematyce i rysunkach, odznaczający się równie w tańcu jak i w muzyce wokalnéj i instrumentalnej, życzy sobie prawnym małżeńskim ślubem skojarzyć się z podeszłą szpetną osobą; młody ten zalotnik nic więcéj od swojéj przyszłéj połowicy nie żąda, jak tylko *pieniędzy*.« Widać, że w liczbie tych umiejętności, które ten kandydat wymienił, *filozofija* pierwsze miejsce zajmuje.

Panna le Düc, do któréj hrabia Clermont się umizgał, i którą, jak mówią, w ostatnich dniach swego życia potajemnie zaślubił, leżała jednego ranka jeszcze o godzinie jedénastéj w łożku, gdy pokojówka obudziwszy ją nagle przybycie księcia oznajmiła. »Daj mi czémprędzéj«, rzekła, »*eau de fleurs d'orange*, która stoi na kominku. Nie otwiéraj okien, aż pokąd książę do pokoju nie wnijdzie.« Pokojówka podaje wodę, a dama myje sobie z pośpiechem twarz, szyję i ramiona. Książę wchodzi do pokoju, lecz gdy odsłonięto gardyny u okien, z przestrachem odskoczył ku drzwiom. I cóż się stało? Oto pokojówka z pośpiechu dała pani miasto *eau de fleurs d'orange*, flaszkę z atramentem. Można sobie wyobrazić, jak panna le Düc pięknie wyglądała!

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.

Drukiem Piotra Pillera.